

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Artystka i hochsztaplerzy

Od pewnego czasu „Zycie Literackie” staje się piśmienniemal sensacyjnym. Jakież to teksty drukują się tam od kilkunastu tygodni! Sensacjom kryminalnym i politycznym przybyła ostatnio sensacja artystyczna: w numerze z ubiegłego tygodnia ukazała się wypowiedź Ireny Eichlerówny pt. „Melpomena w służbie hochsztaplerów”.

Jest to — jak słusznie zauważono w notce ów tekst poprzedzającej — wypowiedź pełna goryczy. Od siebie dodam, że także pełna nostalgii. Jest to tekst wzruszający jak wzruszająca była każda rola wielkiej artystki, nawołującej w swej wypowiedzi o powrót do teatru wzruszeń. Jest to tekst bardzo ważny i godny przemyślenia. Jest to tekst równie słuszny i alarmujący, co krzywdzący i niesprawiedliwy. Jeśli ktoś powie, że te dwie opinie nawzajem sobie przeczą, odpowiem, że niezupełnie.

Irena Eichlerówna jest w naszym teatrze zjawiskiem wyjątkowym. Należy do tych szczęśliwych postaci, których „kariera” ustalona została już w chwili debiutu. Już wtedy zorientowano się, że narodziła się nam aktorka niezwykła, autentyczna artystka — i to miary największej, graniczącej ze scenicznym geniuszem.

Niezwykły talent Eichlerówny — wspierała zawsze ogromna praca. Nie tylko nad rolami — także nad sobą. Eichlerówna jest osobą bardzo dyscyplinowaną, przy tym wysoce wykształconą, władającą biegle kilkoma językami. W czasie wojny występowała m. in. w Rio de Janeiro, gdzie odnosiła wielkie sukcesy, grając... po portugalsku. Przypominam, że nazywano ją tam „polską Duse”.

Zycie pieściło więc Eichlerównę, tak przynajmniej mogło wudawać się tym jej koleżankom i kolegom, a także tym jej widzom i wielbicielom, którzy z trudem dochodzili — albo i nie dochodzili — do jakichś osiągnięć na scenie czy w innym zawodzie; wreszcie tym, którzy spędzali tutaj krwawe lata okupacji, gdy ją obrzucano kwiatami w Rio. Tak mogło się wydawać, choć wiadomo, że nawet największy artysta przechodzi okresy załamania i niewiary w siebie, a emigranci wojenni też przeżywali chwile ciężkie, związane choćby z niepokojem o najbliższych, pozostałych w kraju. Mimo to można powiedzieć, że życie pieściło Eichlerównę, tym bardziej że jej charakter nie dopuszczał raczej momentów niewiary we własną wielkość. Przeciwnie: świadomość własnej wielkości i towarzyszące jej uczucie wyższości nad innymi, w połączeniu z władcą naturą artystki, pozwalały jej przetrwać burzę wojenna i los emigracyjny w dobrej formie.

To się skończyło, gdy wróciła do kraju. Skończyły się

pieszczoty. Eichlerówna znalazła się w świecie zupełnie sobie nieznanym, zupełnie różnym od tego, jaki pamiętała, mimo, że żyło jeszcze tylu jej dawnych przyjaciół, kolegów, nawet nauczycieli (Zelwerowicz). Nie rozumiała tego świata i ten świat — chociaż przyjął ją z radością i szacunkiem — jej także nie rozumiał. Artystka poczuła pierwszy smak goryczy. Z czasem stawał się on coraz ostrzejszy: przyszły trudne lata. Nie pozwolono jej grać wielu sztuk, które przywozła. Potem — mimo całego szacunku, jakim otaczano jej osobę — potępiano jej sztukę. Za „formalizm”. Gdy w r. 1949 napisałem entuzjastyczną recenzję z jej „Fedry” granej w Poznaniu, potępiono mnie także. Artystka miała więc prawo do goryczy, do rozczarowania, nawet do... pogardy. Bo to, co mówi w swej wypowiedzi o donosach, jakie na nią pisano, to prawda. Przyznać trzeba, że w pewnym stopniu straciła najlepsze lata rozkwitu swojej osobowości i swego talentu.

Ale przyznać też trzeba, że w końcu uznano ją oficjalnie i nagrodzono nie tylko nagrodami ministra kultury, lecz także Sztandarem Pracy.

Smutne i na ogół prawdziwe (choć przesadzone) jest to, co Eichlerówna pisze o dzisiejszym teatrze i jego kierownikach. Ale powiedzieć też trzeba, że ona sama nie ułatwiała życia tym dyrektorom, którzy ją angażowali, ani tym kolegom, którzy podziwiali ją szczerze i granie z nią uważali sobie za zaszczyt. Powiedzieć trzeba, że — poza własnym — nie uznawała innych autorytetów. Powiedzieć trzeba wreszcie, że choć bywała „taśkawa”, traktowała przecież kolegów z dystansem, nawet z góry. Cóż, wielkość jest wielkością. Wielu to uznawało.

Sprzeciw budzi jednak nazywanie dziś „hochsztaplerami” tych, którzy budowali wspólnie polski teatr w najlepszej wierze i z dużymi sukcesami, tworzyli tylko jego model, który nie mógł w pełni uwzględnić rodzaju aktorstwa właściwego Eichlerównie. Choć ci „hochsztaplerzy” i tak starali się — w miarę możliwości — zapewnić Eichlerównie należne jej miejsce w repertuarze. Ta więc cześć wypowiedzi artystki jest niesprawiedliwa i krzywdząca. Poglądu Eichlerówny nie podzieliliby zapewne ci, których artystka wspomina z nostalgią: Zelwerowicz, Horzyca, Osterwa, Krasnowiecki. Zwłaszcza Horzyca i Osterwa. Gdy minie uczucie goryczy, gdy Eichlerówna zapomni o uprzedzeniach, zmieni chyba sama tę opinię, tak bardzo niesłuszną i pomniejszającą powagę jej wypowiedzi.

PS. W kolumnę z wypowiedzią Eichlerówny włamano w „Zyciu Literackim” wiersz Haliny Sitarskiej. Hm. O ileż sensacyjniej wyglądałaby ta strona, gdyby włamano w nią jakiś wiersz zajmujący się ostatnio poezją Niny Andryczówny!